

SŁAWOMIR MROŻEK

TANGO

sezon 1988/89

29 IV
premiera w marcu 1989 r.

REŻYSERIA I SCENOGRAFIA — WOWO BIELICKI

Obsada

MŁODY CZŁOWIEK, czyli ARTUR — Andrzej SZUBSKI

ELEONORA, matka Artura — Janina BUŁAWA

STOMIL, ojciec Artura — Jerzy GRONOWSKI

OSOBA NA RAZIE ZWANA BABCIĄ, czyli EUGENIA — Teresa MUSIAŁEK

STARSZY PARTNER, czyli EUGENIUSZ — Józef KACZYŃSKI

PARTNER Z WĄSIKIEM, czyli EDEK — Tadeusz SOKOŁOWSKI

ALA, kuzynka i narzeczona Artura — Katarzyna SKOLIK-MIEDZIAK

Asystent reżysera — Jerzy Gronowski

Inspicjent — Anna Kustrzyńska

Sufler — Elżbieta Solarek

Dramaturgia modelów



Od pamiętnej premiery *Wesela* nie było w Polsce sztuki, która by wzbudziła równie jednogłośnie aplauz. „Witkacy przyszedł za wcześnie, Gombrowicz jest obok, Mrozek pierwszy przyszedł w samą porę — pisał Kott — i to na obu zegarach: polskim i zachodnim”. Melodia *La Cumparsity* zabrzmiała równie zrozumiale w Krakowie i Paryżu, Santiago i Wilnie. Ale wcale niełatwo udowodnić, dlaczego.

Pochwały krytyki można sprowadzić do dwóch. *Tango* podsumowuje doświadczenie dramatyczne polskiej awangardy. Stomila, Eleonorę, Babcię nawet spłodzili metafizyczni maniacy Witkacego, którzy najblaszszą codzienność chcieli przeistoczyć w dzieło sztuki. Zaś pomysł obrzędu, który ma scementować społeczny porządek, wziął Mrozek na pewno z Gombrowicza ... podobnie jak dialektykę gąb i form, w której rozpuszcza się substancjalność jednostki. *Tango* byłoby zatem ironicznym pogłosem *Ślubu i Kurki wodnej*. Zarazem jednak — mówiono — przestał Mrozek składać parable, bawić się logicznymi paradoksami: „napisał swoją pierwszą sztukę”. Zabawne to westchnienie ulgi, które wydarło się recenzentom, karmionym pinterami na ioneskach i frischami na brechtach...

Czy jednak Witkacy i Gombrowicz mogą doprowadzić do dramatu rodzinnego? Owszem, rodzina Mrozka jest witkaco i gombrowiczopodobna. Ale jeśli tak, Stomil nie jest wcale zbudowany inaczej niż Okulista z *Karola*. Jest stereotypem awangardowego artysty, jak tamtem — stereotypem liberalnego inteligenta. Posłuchajmy tylko, jak plecie: „Rewolucja i ekspansja — to nasze hasło! Rozbijanie starych form, precz z konwencją, niech żyje dynamika! Życie w stwarza-

niu, wciąż poza granice, ruch i dążenie, poza formę, poza formę!”. Gada, jakby kręcił majonez ze Sterna i Peipera...

Jak Okuliście przydał Mrozek strach, tak Stomilowi — „rozpięcie”: niedbalstwo, latwiznę, lenistwo. Podobna więc recepta na homunculusa: do zużytej formy dosypać parę cech niskich, cielesnych, prostych. Eleonora to artystyczna egeria, w której jak w każdym starym piecu, pali diabeł. Babcia — dama z towarzystwa, w której górę wzięła żądza byle jakiej rozrywki. Eugeniusz zaś to pan starej daty, co pogodził się z koniecznością przystosowania: całkiem jak owi hrabiowie, którzy po przewrocie uczą zwycięzców jeść rybę dwoma widelcami. Nawet Ali nie znalazł Mrozek w krakowskiej kawiarni, ale w reportażach Lovella, bajdurzącego oblesnie o zepsutych „nowoczesnych”... Zapewne, wszystkie te figury odsyłają do zjawisk nieobcych codziennemu doświadczeniu. Ale zobaczone są tak, jak każda literacka tradycja albo opinio communis. Dowodem całkowita przezroczyść zachowań: postaci *Tanga* nie mają tajemnic... Oto ojciec, matka, trochę znudzeni i nielojalni, ale w gruncie przywiązani do swej przeszłości... i przyszłości. Oto babka i wuj, przedstawiciele praszczurów. Oto syn i jego narzeczona, dzięki którym powstanie nowa rodzina! Cokolwiek się powie, związki, które łączą tę zwariowaną familię, istnieją bezspornie i zrozumiale. A skoro istnieją, to mogą przestać istnieć... Aby pokazać rozpad, Mrozek chwytą się czegoś, co jeszcze stoi: czegoś, czego publiczność na pewno nie podda w wątpliwość.

Sęk w tym, że wszelka symbolika żąda pewnego gruntu. W rodzinie Mrozka zobaczyć wolno artystyczne środowisko, społeczeństwo, Polskę, świat cały. Ale właśnie dlatego, że jest ona wpięta w rodzinę. Spór Artura ze Stomilem to spór dwóch pokoleń awangardy (albo dwu pokoleń tout court). Ale to naprzód dyskusja ojca z synem, co sprawia, że obaj godzą się — że obaj muszą — ze sobą rozmawiać. Jak stale słyszymy, rozplynęły się wszelkie konwencje, wszelkie lepiszcza. Artura zatem już nic nie łączy ze Stomilem? Nic prócz ojcostwa: nawet najbardziej wyrodny syn pozostaje synem. Tak sterroryzować można tylko rodzinę! Jeśli Stomil godzi się oderwać od ukochanych eksperymentów, jeżeli, oburzona fanaberiami Artura, Eleonora nie wychodzi, trzaskając drzwiami — to publiczność, która również wychowuje dzieci, nie dziwi się, nie wzrusza ramionami, ponieważ dobrze wie, że więcej jeszcze trzeba, aby rozerwać pierwotny węzeł. Pęknie on dopiero wtedy, kiedy pojmimy, że nie tyle o rodzinę Stomila chodzi, ile o rodzinę ludzką, o społeczeństwo.

Nie mówiłem jeszcze o Arturze. Czy i jego ukształtował Mrozek ze stereotypów? I tak i nie. Postępowanie Artura łamie wszelkie obyczajowe prawdopodobieństwo. Przerzywa godziwą bądź co bądź rozrywkę, jaką jest brydż. Zniewaza i posyła na katafalk dziecienną staruszkę. Pomija lokajem — przyjacielem domu. Wtrąca się do osobistych spraw matki. Udziela lekcji ojcu. Tych skandali nie można umotywić żadnym interesem ani żadną oczywistą — bezpośrednio daną — namiętnością. Artur nie jest bezprzytomnie zakochany ani nie pragnie się na nikim zemścić. Nie łaknie ani pieniędzy, ani nawet władzy, przynajmniej początkowo. Łaknie prawa. Jak wielokrotnie powtarza, szuka „idei”, wyklada „filozofię”, wykonuje „plan”, pragnie „porządku”. Jego wybryki służą spełnieniu intelektualnego urojenia: „z ogólnego punktu widzenia stworzenie systemu wartości jest niezbędne dla należytego funkcjonowania tak jednostki jak społeczeństwa”.

Byłoby więc Artur stereotypem doktrynera? Taki był może punkt wyjścia. Przeciw czemu ma się buntować buntownik, skoro wszystkie zakazy zostały już obalone? Chyba tylko — przeciw buntowi... Szaleństwa Artura nie wyczerpują się jednak w dialektycznych igraszkach. Stanowią, owszem, momenty czysto intelektualnego przedsięwzięcia: przywrócenia norm społeczności wszelkich norm pozbawionej. Zarazem jednak uruchamiają, przynajmniej pośrednio, międzyosobowe relacje, których prawdziwości nie

sposób zaprzeczyć. *Tango* bardzo łatwo grać jak komedię obyczajową, chociaż wcale taką komedią nie jest. (...)

Jak teraz nadać tej blahej w końcu historyjce nośność? Calkiem prosto: utożsamiając rodzinę ze społeczeństwem. W dwu wzorach zachowań, z których — paradoksalnie — tradycyjnie proponuje Artur, nowoczesne zaś Stomil, łatwo spostrzec dwa wzorce rozwoju społecznego, tysiąckrotnie dyskutowane tak w maglach, jak na uniwersytetach. Społeczność tradycyjna rozwija się — a raczej trwa, ponieważ trwanie ceni wyżej niż rozwój — przez przystosowanie nowo przybyłych do istniejącego porządku. Przystosowanie zostaje wymuszone przez autorytet dorosłych (zwłaszcza ojców), którzy są mistrzami wypróbowanych technik produkcyjnych i nauczycielami postępowań. Nie ma pojęcia postępu, chyba jednostkowego: drogi do zbawienia lub przynajmniej — doskonalenia wewnętrznego. Bunt młodych rozumie się zawsze moralnie i psychologicznie, rozwiązuje zaś metodą prób i błędów ... W potyczce z rzeczywistością ucierpią jednostki, dostosuje się większość — i tak społeczność umocni się w swoim trwaniu.

Inaczej współcześnie. „Być szczęśliwym — powiada Eleonora — to prawo i obowiązek ludzi wyzwolonych w naszej nowej epoce. Tak mnie uczył Stomil”. Istotnie: „Jest tylko jedna zasada — wyklada jej małżonek — nie krępować się i robić to, na co się ma ochotę ... Człowiek sięga po samego siebie, zrzuca starych bogów i siebie stawia na piedestale ... Bunt to opoka, na której postęp buduje kościół swój. Im większy obszar buntu, tym rozleglejsza jest ta budowla.” I oto religia przyszłości gotowa! Jej bóstwem jest postęp, kapłanami — buntownicy, momentem epifanii — młodość. W młodości bowiem objawia się przyszłość jednostki i społeczeństwa. (...) Bunt różni więc nowe oczekiwania. Ale obdarza także radością tworzenia. Jego uzasadnienia, początkowo moralne (cnota i szczęście) nabierają teraz cech magiczno-estetycznych. Rozbłyskują pięknem nowych i nieustannych narodzin! „Odrzucić i doświadczać — wola Stomil — Sięgać wciąż po nowe życie”. Czyż to nie postępowi (w młodości) liberalowie, jak Eugeniusz, plodzili na początku wieku wszelkiej maści „istów”? Oni zaś każdy bunt — niezależnie od kierunku i wartości — zaczęli oceniać dodatnio.

Zabawna i znamienna jest już reakcja na karykaturalny „eksperyment” Stomila. Poruszając pacynkami, które przedstawiają Adama i Ewę, recytuje on wierszyk o powstaniu ludzkości. Po czym strzela z rewolweru i wysadza stopki..., aby „poprzez działanie bezpośrednie” wytworzyć „jedność momentu akcji i percepcji. Jasne?” Jasne dla Eleonory, ale ani dla Eugeniusza, ani dla Edka. Eugeniusza złości niezborność pomysłu, „co to ma wspólnego z Adamem i Ewą”. Edek zaś „woli kino”, bo Biblii nie zna, zaś na ekranie strzela się zabawniej. Inaczej: efekt nowości można wywołać tylko pod warunkiem, że publiczność ma w pamięci dzieła przekształcone, wyśmiewane czy wręcz niszczone. Kto nie rozróżnia Giocondy od rysunku w szalecie, nie będzie się dziwił, że Dali domalował jej wąsy. Rozwój istnieje tylko względem norm tradycji.

Stomil, salonowy marzyciel, spełniał swój bunt w wyobraźni. Wiedząc o oporze rzeczywistości, udawał, że go nie dostrzega czy też, że go w ogóle nie ma. „Zdawało mi się — mówi smutno w zakończeniu — że to międzyludzkie rządzi nami i za to ludzkie mści się, zabijając nas. Ale widzę, że to tylko Edek”. Jest to może najważniejsze zdanie sztuki, choć niełatwo objąć myślowy skrót, który zawiera. Całe życie Stomil wierzył, że rządzi światem to co międzyludzkie — konwencja, umowa — i dlatego nie przestawał znieważać jej i twórczo poszerzać nieustannym „eksperymentowaniem”. Kiedy zobaczył, jak przeciwko buntowi zbuntował się jego własny syn, Artur, sądził, że przeciw postawie, jaką reprezentował, powstało to co w człowieku naturalne, co tradycyjnie „ludzkie”. Ale teraz widzi, że naturalny jest tylko Edek, „griaduszczyj cham”, wolność zmieniona w dowolność. Powraca znowu Mrozkowa opozycja pustej formy i upadającej cielesności, bowiem u kresu awangardowej drogi zanika różnica między Prometeuszem a zwierzęciem, gryzącym pręty klatki.

Edek bardzo trafnie odpowiada na pytanie, jaki jest postęp. Jest mianowicie „postępowy. Do przodu”. Jego „postęp” nie jest tworzeniem nowych wartości, jak w „wieku oświecenia i nauk ścisłych”. Nie jest także magicznym i zabawowym „eksperymentowaniem” Stomila, możliwym tylko dzięki tradycji, którą wyszydzał i łamał. Jest już tylko afirmacją zachcianki, która pojawia się i znika. Jakże jej jednak nie posłuchać, skoro czas musi płynąć „do przodu”... Inaczej: nikt już nie odtworzy starego porządku. Ale nowy wyczerpuje się w negacji, dopóki panują Stomilowie, którzy „żegnanie epoki biorą za początek nowej”. Nowe czasy, nowi władcy: wszyscy zrozumieli, że zwycięstwo Edka jest rewolucją nihilizmu. „Porządek Artura miał być absolutny, doskonale wcielać ideę w byt. Lecz jedynie porządek Edka okazał się autentyczny. Jest on „samą naturą” — jak Edek. Lecz sama natura w społeczeństwie — to nie wolność. To walka o byt”. Zaś siłą do walki rozporządza Edek, który będzie sobie teraz robić dobrze — flekowaniem bliźnich i wulgarną rozrywką. Mrozek uprawia tu — nie po raz pierwszy — demistyfikację lewactwa jako powrotu do nihilizmu. (...)

Czytane filozoficznie *Tango* opowiada o dziejach wolności. Eugeniusz, dla którego „umieranie nie jest naukowe”, zrodził Stomila. Stomil, który szukał wolności wyobraźni artysty, zrodził Artura. Ten, chociaż zaczął od kroku w tył, zrobił w końcu decydujące parę kroków naprzód, miast sztuki chcąc „zbawić ludzkość” całą. I tenże Artur zrodził Edka. Dlaczego on, który wołał: „mogę stworzyć i zburzyć, co zechcę” — nie potrafił przejąć władzy naprawdę? Przyczyną ostatniej klęski Artura była miłość do Ali, a więc jeszcze — pragnienie porozumienia z drugim człowiekiem, marzenie o (szeroko rozumianej) rodzinie ... Artur nie chciał zrozumieć — i w tym był „nerwowy”, czyli niekonsekwentny — że absolutna wolność skazuje na absolutną samotność. Chcąc samemu stać się źródłem władzy i społecznego porządku, liczył obłudnie na rodzinę, która zapewni mu przywiązanie i miłość, jakie radykalnie niszczył. Edek nie ma już żadnych takich potrzeb. Bunt przeciw konwencji — a raczej przeciw wartościom, które ograniczają pragnienia jednostek — skończył się w pieczarze jaskiniowca.

Dopiero teraz zrozumieć można dramatyczną funkcję historii dojrzewania. W *Tangu* wszystko obraca się wokół autorytetu kultury. Ale wszelki autorytet, aby był wiarygodny, musi zostać wkorzeniony w doświadczenie rodzinne. Mrozek nie może zatem obejść się bez bohatera, dla którego poszukiwanie autorytetu nie byłoby najgłębszą potrzebą. Zarazem jednak ta potrzeba winna zostać zobaczona nie jako cecha jednostki, lecz jako prawo rządzące zachowaniem grupy. Słowem, Artur nie interesuje Mroźka jako „żywy człowiek”, ale jako model procesu wychowawczego. Model bankrutuje, ponieważ nie uczy żyć, nie wychowuje Artura ani do przystosowania, ani do władzy. Kariera Artura kończy się wybuchem płaczu. (...) Dopiero na tym modelu nadbudowana mogła zostać społeczna parabola. Nie ma już rodziny, nie ma także społeczności. Za tworzywo postaci wziął w *Tangu* Mrozek nie statyczny stereotyp, ale dynamiczny model.

Jan Błoński

Jan Błoński: *Romans z tekstem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, s. 220-231.



Nic do mnie nie należy, ale ja muszę płacić wszystkie rachunki.

S. Mrozek

Człowiek musi zajmować się sobą, ponieważ gdyby przestał, ustalaby wszelka działalność. Jego zainteresowanie czym innym jest zbyt nikle.

S. Mrozek

Przeżyłem 1'40, ściślej 1'40, 387755 — ery chrześcijańskiej. Ale nam zleciało.

S. Mrozek

Co komu szkodzi głupstwo? Informacja jest naszym kontaktem z rzeczywistością. Od najprostszej: „Muchomory trują, a rydze są jadalne”, aż do literatury, która też jest informacją, tyle że bardziej skomplikowaną. Działamy na podstawie informacji. Wadliwa informacja powoduje niewłaściwe działanie, o czym wie każdy, kto zjadł muchomory, ponieważ był poinformowany, że to są rydze. Od złego wiersza się nie umiera, ale to też szkodzi, tylko inaczej. Głupstwo jest informacją bez sensu, czyli pustą, czyli pozorną, szumem, belkotem, który zagłusza informację.

Co komu szkodzi kłamstwo? Oczywiście, szkodzi temu, w kogo jest wymierzone, ale pośrednio szkodzi nam wszystkim, ponieważ niszczy samą zasadę informacji, czyli zaufanie. Kłamstwo, czyli dezinformacja przynosi kłamcy doraźną, osobistą korzyść, kosztem ogółu. Kłamca jest pasożytem. Pasożytując osłabia organizm, na którym pasożytuje, i może doprowadzić do jego zniszczenia. Wtedy zginie wraz z nim.

Kiedy już nie będzie zaufania, nie będzie kłamcy, ale też nie będzie informacji i w ogóle niczego nie będzie. Stracimy kontakt z rzeczywistością, czyli ewolucji. Zgubią nas półinteligent i kłamca.

Po czym zostanie tylko półinteligent.

S. Mrozek

Nudny i nieprzyjemny model: worek wypełniony woreczkami śrutu tego samego kalibru, dotykającymi się wzajemnie. Każda kulka w sobie. Pomiędzy poszczególnymi punktami styku (ile ma ich każda — zadanie dla matematyka) nic nie ma. „W sobie” jest beznadziejnie oczywiste, „pomiędzy” — puste. Ale za to jaka równość!

S. Mrozek

Rys. S. Mrozek

Co słychać

Sławomir Mrozek

z Moralnością?

Dziękuję, ma się dobrze, a przynajmniej wciąż o niej głośno. Stara, poczciwa moralność Dziesięciorga Przykazań obowiązuje nadal, ale już nie człowieka (mnie, ciebie, jego, ją). Dotąd jej zasady miały rządzić postępowaniem jednostki wobec innej jednostki, względnie postępowaniem jednostki wobec zbiorowości, rodziny, gminy, społeczeństwa. Obecnie — mniema się i głosi — cnotliwa ma być przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, zbiorowość, a jednostka zostaje od odpowiedzialności moralnej zwolniona. Zasady moralne mają więc — podobno — kierować postępowaniem społeczeństwa wobec jednostki, państwa wobec innego państwa, klasy wobec innej klasy. Oczywiście tylko postępowaniem państwa silniejszego wobec słabszego, tej klasy, która jest akurat na wierzchu, wobec tej klasy, która jest pod spodem. Słabsi są moralni — podobno przez to, że są słabsi, niejako automatycznie. Moralność jest raczej ukierunkowana, co nasuwa podejrzenie, że jest tak ukierunkowana, czyli używana przez tych, którzy akurat przegrywają i że — kiedy zaczną wygrywać — zmienia perspektywę.

Jeżeli zbiorowości nie będą się sprawować moralnie, to... niestety nie wiadomo, jakie są sankcje. Dusza, która źle się sprawowała, szła za karę do piekła, po śmierci ciała. Teoria duszy kolektywnej nie została jeszcze dostatecznie opracowana, choć ten brak nikomu w praktyce nie przeszkadza. O piekło lub niebie dla duszy kolektywnej a nieśmiertelnej, po śmierci kolektywnego ciała, jeszcze głucho. Niemniej postulat kolektywnego sumienia brzmi kategorycznie, podobnie jak likwidacja sumienia indywidualnego. Od-tąd cnotliwi mają być nie: ja, ty, on, ona, ono — ale wy, i oni. A my? Nas się nie wspomina, ponieważ my jako my jesteśmy cnotliwi z natury rzeczy (ponieważ my, to my) więc nie ma o czym mówić.

Dla przykładu: kradzież. Jednostka już nie kradnie, ale ulega impulsowi, co i zdrowo, bo nie frustruje się; albo też wyrównuje niesprawiedliwość społeczną, co i słusznie. Bowiem „własność to kradzież” choć z tego logicznie wynika (bo jeżeli A równa się B — to B równa się A), że kradzież to własność, kradnie się przecież po to, żeby ukradzione posiadać. Natomiast „okradać”, „zagrabiać” — tych słów używa się już tylko w publicystyce socjologicznej i politycznej, żeby oznajmić, że jakaś zbiorowość zrobiła coś — czy robi — na materialną niekorzyść jakiejś innej zbiorowości, ale z tym samym moralnym i świętym oburzeniem, z jakim wołali niegdyś kaznodzieje do indywidualnych grzeszników i nie w sprawie socjologiczno-politycznej, ale zbawienia duszy.

Z zabójstwem podobnie jak z kradzieżą. Jednostka już nie zabija, lecz ulega uwarunkowaniom psychicznym, albo protestuje (choć nieco okrężną drogą przeciwko złemu społeczeństwu, które nie dało jej dobrego samopoczucia). W obydwu wypadkach nie można mówić o jej winie, natomiast w drugim wypadku należy mówić o winie społeczeństwa.

Zabija natomiast, morduje, rżnie i puszcza krew — w całym niemoralnym i emocjonalnym znaczeniu tych słów — państwo, głównie pod postacią obowiązkowej służby wojskowej. Dla pewnych nieoficjalnych kolektywów robi się natomiast wyjątki i te, jeżeli wsadzają komuś kulę w kark, duszą w ustronnej piwnicy, albo rozrywają parę osób przy pomocy bomby — nie zabijają, ale „likwidują” albo „egzekwują”. Zastanawiające, że jest to identyczna nomenklatura, jaką posługiwał się język Trzeciej Rzeszy dla określenia działalności jej organów, takich jak Gestapo,



SS, Einsatzkomanda, zarząd obozów koncentracyjnych i tak dalej. Ta zbieżność nikomu jednak nie zakłóca spokoju, z jakim używa się teje nomenklatury dla nazwania czynów dokonywanych przez wybrane organizacje i kolektywy, ale tak, żeby ich nie kwalifikować moralnie. Czyli tak samo i w tym samym celu, w jakim tej nomenklatury używała Trzecia Rzesza Niemiecka.

We wszystkich zaś wypadkach, jakiegokolwiek są interpretacje debaty nigdy nie dotyczą ofiar, ale wyłącznie wykonawców. Prawdopodobnie dlatego, że ofiara nie przedstawia dla debaty i dociekań żadnego interesu. Ofiara jest po prostu nudna, ot, szedł sobie ktoś czy siedział i go zabili, to wszystko. Nie można roztrząsać motywów ofiary — inteligentnie, z rozmachem, z daleko idącymi wnioskami — po prostu dlatego, że motywów ofiary w ogóle roztrząsać nie można. Z tego prostego powodu, że ofiara żadnych takich motywów (żeby dać się zabić) nie miała. Owszem, miała motyw, ale całkiem w drugą stronę, a raczej jeden motyw tylko i w dodatku prostacki: chciała żyć i tyle. Ale to właśnie jest zupełnie, ale to zupełnie nieinteresujące i bezowocne dla dyskusji.

Kłamstwo, oszustwo, to już drobiazgi i nie ma co powtarzać wywodu dokonanego na grubszych przykładach. Pewna część świata przypomina już majdan, po którym przechadzają się indywidualia — a imię ich jest masa — zajęte wyłącznie robieniem sobie dobrze, a źle bliźniemu swojemu oraz poczuciem — głośno wyrażanym — głębokiej krzywdy, jaka ich spotyka ze wszystkich stron, przede wszystkim ze strony „społeczeństwa”. W cudzysłowie, bo gdyby ich zapytać, co właściwie rozumieją pod tym słowem, odpowiedź

byłaby w najwyższym stopniu mętna. Pewien hurtowy przemytnik narkotyków, który podczas jednej ze swoich handlowych podróży za granicę został tam zatrzymany razem z walizką heroiny — wrócił do swojego ojczystego kraju po trzech latach, już bez walizy, ponieważ prosto z więzienia — i udzielił wywiadu. W tym wywiadzie dał wyraz ostremu oburzeniu, że rząd jego ojczystego kraju, kraju któremu właśnie zamierzał podrzucić kolejny transport trucizny, nie zaprotestował wobec rządu tamtego kraju, w którym go zatrzymano i skazano — właśnie przeciwko jego zatrzymaniu i skazaniu, zresztą zupełnie legalnemu z punktu widzenia międzynarodowego prawa. Jego oburzenie, jego poczucie krzywdy było szczere i tak przybyła nam jeszcze jedna ofiara ucisku obywateli przez brutalny ustrój (gdzie, kiedy, kto — mogę odpowiedzieć na żądanie, czytałem ten wywiad własnymi oczami) — i w konsekwencji jeszcze jeden bojownik wolności indywidualnej.

Tylko szóste przykazanie, „nie cudzołóż”, wciąż nie da się przetrząsnąć z domeny prywatnej w publiczną. Społeczeństwa, państwa, instytucji wciąż nie da się oskarżyć o ruję i porubstwo. Co nie znaczy, że można o to oskarżyć jednostkę, bynajmniej, to już dawno przestało być grzechem. Kto wie jednak, czy zbiorowości i tego by się nie zarzucało, gdyby nie okoliczność, że doprawdy nie ma już jak. Bowiem zbiorowość posiada wprawdzie liczne i rozmaite organy, niektóre z nich nawet bardzo rozwinięte, ale ciągle jeszcze nie posiada tych organów (narządów), które są niezbędne do grzeszenia przeciwko szóstemu przykazaniu.

„Dialog” 1980 nr 9, s. 149

Posiadam pewne wyobrazenie o sobie samym, spotykam kogoś z bliska lub z daleka, uczestniczę w społeczeństwie i odczuwam potrzebę wyjaśnienia, co to wszystko znaczy. Ja sam na sam z sobą, ja z drugim człowiekiem, ja i społeczność, ja i metafizyka. Cztery podstawowe relacje, wymiary mojego istnienia.

Gdyby je uszeregować według ich konkretności, na pierwszym miejscu znajdzie się moja relacja z drugim człowiekiem.

Nawet siebie samego nie odczuwam aż tak konkretnie, ponieważ jestem umieszczony w środku tego, co odczuwam i nie mogę się zderzyć sam ze sobą. Obecność drugiego człowieka jest faktem fizycznym przede wszystkim.

Społeczeństwo jest niemal wyłącznie abstrakcją. Jako percepcja zmysłowa jest mi dostępna tylko jako tłum na placu. Resztę, tę zasadniczą resztę, muszę wypracować przy pomocy pojęcia abstrakcyjnego. A



gdy przechodzę do metafizyki znika ostatni ślad cielesności. Takie pojęcia jak Bóg albo Historia, zależnie od tego, czy wolimy metafizykę religijną, czy świecką, są w pełni abstrakcyjne.

Dlaczego teatr, który jest z natury swojej sztuką cielesną, zaniedbał relację numer jeden (człowiek a drugi człowiek), która tak naturalnie jest jego domeną, a zajął się trzema pozostałymi? (...)

Być może przyczyną niedo-

władu teatr „człowiek-człowiek” jest od — osobowienie życia w ogóle. Wszystko staje się anonimowe, wszystko staje się instytucją, jednostka zostaje samotna wobec spraw i potęg. (Banal, aż w zębach zgrzyta, ale co robić). Więc mamy w teatrze tylko samotną jednostkę i potęgę. Doliczyc trzeba płynącą aż gdzieś z Kalifornii silną falę narcyzmu jako wszechfilozofii. Być może przyczyną jest, że w teatrze „człowiek-człowiek” trudniej niż w innym o uludę no-

ciąg dalszy — s. 6

wości, nowatorstwa. Zaś zarzut: „to nic nowego” jest najcięższą obrazą. Sugeruje albo plagiat, albo w najlepszym wypadku ociężałość umysłu niezdolnego do „wytaczania nowych dróg”

Rzeczy podobają się często wcale nie dlatego, że są mądre czy dobrze zrobione, ani nawet wcale nie dlatego, że się podobają naprawdę, tylko dlatego, że są „nowe”. Otóż, „człowiek sam wobec siebie”, „człowiek a społeczeństwo”, „człowiek a metafizyka” obfitują w systemy, które — zależnie od danego terytorium i danej kultury — mogą służyć jako nowe, lub też wszędzie służyły już jako nowe. Każdy z tych systemów był kiedyś oszalamiającą nowością, a niektóre z nich są nowością do dzisiaj, zależnie od miejsca i okoliczności. I zawsze istnieje szansa, że w tych zakresach wymyślimy jeszcze coś nowego. Natomiast trudno wymyślić coś nowego, w tym, co się dzieje między jednym człowiekiem, a drugim. Mogą powstać nowe systemy intelektualne, nowe interpretacje różnych poziomów rzeczywistości, natomiast akcje i reakcje są jakie były i chyba będą.

Zajmować się relacją „człowiek-człowiek”, to by znaczyło także zająć się nieco etyką i moralnością. To również nie jest w guście epoki. Zbывamy je ironicznym uśmiechem, jeżeli nie są opakowane w polityczne albo psychoanalityczne abstrakcje. Są już nienowoczesne, nieciekawe intelektualnie. Najwyżej perwersje mogą nas zainteresować. Pochwała szaleństwa, jakiś pikantny przypadek sadomasochizmu, błyskotliwe kazirodztwo czy też zawsze smakowita, zwyczajna chęć mordowania jako danie podstawowe. Temu nadano intelektualne szlachectwo, reszta jest dla zacofanych prostaków. Zresztą wyżej przytoczone tematy mniej należą do relacji „człowiek-człowiek”, co znowu do relacji numer jeden, do owego piekielnego kotła pojedynczej podświadomości odpowiednio zaprawionej, która wydaje się z niczym nie mieć nic wspólnego, z niczym nie współdziałać, od niczego nie zależeć

i tylko opary i dymy z kotła się wydobywające są łącznikiem z czymkolwiek, co na zewnątrz.

Asystowałem przy kilku reżyseriach w różnych krajach i prowadziłem ćwiczenia w szkołach teatralnych. Wszędzie stwierdziłem to samo, aktorzy umieją skakać i fikać koziołki, mówić cienko czy grubo, chętnie rozumieją wymowę ogólną utworu, zwłaszcza społeczną (lub też wydaje im się, że rozumieją) i z rozkoszą zagłębiają się w psychoanalizę postaci. Natomiast cierpią na zadziwiający bezwład wyobraźni psychologicznej, gdy chodzi o zrozumienie sytuacji partnera (a zatem swojej własnej) i w ogóle sytuacji doraźnie granej na scenie, choć nieraz bardzo prostej. Współzależność konkretnych akcji i reakcji wymyka się im często i całkowicie. Nie wiedzą i nie są ciekawi, a nawet nie przychodzi im do głowy, że mogliby być ciekawi, dlaczego ktoś w danej chwili wykonuje taki, a nie inny gest (założmy oczywiście, że ten gest jest taki, a nie inny, czyli odpowiedni, a nie byle jaki). Tym mniej umieją odpowiedzieć gestem właściwym, a nie jakimkolwiek. Czasem wydaje mi się, że nie ma sensu pisanie utworów w określony sposób zamiast jakkolwiek, podobnie jak nie ma sensu pisanie koncertów skrzypcowych na betoniarkę, maszynę do szycia, warsztat tkacki i pneumatyczny młot.

Powtarzam: aktorzy doskonale rozumieją motywacje ogólne, analizowane przy stoliku. Wiedzą, że postać odtwarzana przez partnera ma kompleks Edypa albo jest uciśniona klasowo, natomiast nie wiedzą w konkretnej scenicznej sytuacji, czy i dlaczego dana postać ma zamiar podrapać się w głowę albo spojrzeć na lewo zamiast na prawo. Rozumieją motywacje ogólne, nie rozumieją sytuacji poszczególnych. To samo, co gorsza, można powiedzieć o reżyserach. Oczywiście, tylko o tych, którzy jeszcze rozumieją cokolwiek.

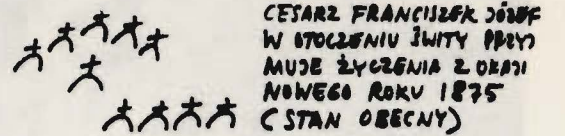
Ja aktorów nie winię. Są tylko dziećmi swojej epoki i na ich przykładzie chcę jaśniej przed-

stawić tezę, że umiemy wszystko, ale nie umiemy spostrzec tego, co najbliższe: obecności drugiego człowieka, bez której nie można się obejść, a z którą nie wiadomo co począć.

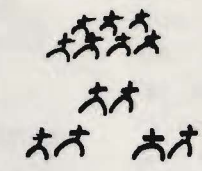
Pewnie, że zajął się tym Gombrowicz. Ale zajął się tak, że jego utwory przypominają raczej matematyczny wzór sprawy, niż samą sprawę. Do tego stopnia zbudowane są na tej właśnie idei, ale idei właśnie. Tak całe są tą ideą przeniknięte, tak bardzo ta idea, właśnie idea, ta świadomość, jest ich wyłączną, idealną substancją. Już bliższy sprawie, bliższy, bo nie oglądający jej z teoretyzującej odległości, wydaje się Harold Pinter, kiedy pamięta o jego założeniu: „Wyobrażam sobie dwie osoby znajdujące się w jednym pokoju i z tego wynika moja sztuka”. Właśnie — wyobraża sobie, a nie kieruje nimi według odkrytych czy też ustalonych (z odkryciami ostrożnie) reguł...

Wybredzam nie z kaprysów, tylko z potrzeby czegoś, co by raczej było w stronę pełni niż ulamka. Tyle się nagadawszy przeciwko relacjom „człowiek wobec samego siebie”, „człowiek a społeczność”, „człowiek a metafizyka”, przyznam teraz, że bez nich także nie można. Jak już powiedziałem na samym początku, cztery relacje wyznaczają moje istnienie. Jestem tylko przeciw szczególnemu zaniedbaniu jednej z nich, i to tej właśnie, która mi się wydaje podstawowa dla trzech pozostałych. Zważmy, że jakkolwiek wysoko byśmy się wzbijali w niebo abstrakcji, nic nie jest możliwe bez owego drugiego człowieka na ziemi. Nasze wnętrze bez niego by nie powstało i najbardziej osobiste fantazmy nie mogą się obejść bez jego obrazu. Nigdy nie spotkam monarchii bez króla, prezydentury bez prezydenta, ojczyzny bez rodaka. A co się tyczy metafizyki, to trudno sobie wyobrazić scenę, na której religia lub historia ukażą się publiczności inaczej niż opowiedziane przez aktorów.

„Dialog” 1977 nr 12, s. 156.



CESARZ FRANCISZEK JÓSEF
W STOLCZERNIU ŻWITY PRZY
MUZE ŻYCZENIA Z OBRAZI
NOWEGO ROKU 1875
(STAN OBECNY)



MAZUR NA BALU NOWO-
ROZNYM 1875 W WAR-
SZAWIE. NA DRUGIM
PLANIE WIDOCZNA UR-
KIBISTRA (STAN OBECNY)



SŁAWOMIR MROZEK
W ROKU 2075

Rys. S. Mrozek

Umierają wszystkie rzeczy, ale myśli, odczucia, kształty ducha umierają szybciej niż organizmy i sytuacje. Każde powtórzenie jest dalszym stopniem zaniku ich żywotności i powiększeniem ich martwego ciężaru. Tymczasem powtarzamy chętnie, myśląc mechaniczne trwanie z nieśmiertelnością. O umieraniu nie chcemy pamiętać w ogóle, nie chcemy go brać pod uwagę, tym trudniej nam dostrzec umieranie w jego najsubtelniejszej postaci: w zgonach nastrojów i idei. Wygłaszamy opinie niewątpliwe, nareszcie niewątpliwe proszę państwa, chociaż co chwilę inne. Wątpliwość nie jest przyjaciółką dobrego samopoczucia.

S. Mrozek



Rys. S. Mrozek

TANGO TANGO

Dyrektor — Wowo Bielicki, zastępca dyrektora — Andrzej Kopcza, kierownik literacki — Olga Haak, konsultant programowy — Barbara Buczyńska-Szuba, kierownik Biura Obsługi Widzów — Maryla Gretschel, kierownik działu technicznego — Czesław Szeliga, brygadier sceny — Wojciech Łaska, rekwizytor — Ryszard Długosz, charakteryzacja — Danuta Dulko; kierownicy pracowni: akustycznej — Krzysztof Kamiński, elektrycznej — Mirosław Orłowski, krawieckiej damskiej — Bolesława Szlaskowska, krawieckiej męskiej — Danuta Kłapińska, stolarskiej — Piotr Budbaros, malarsko-tapicerskiej — Jadwiga Polniak, reklamy — Bogdan Ziółkowski. Redakcja i opracowanie graficzne programu — Barbara Buczyńska-Szuba, druk DZG Zakład w Wałbrzychu, wydawca — Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu, cena zł 50.

DZG 2713-2-1-0347 14.02.89 1000 A3 F-22

Adres teatru: 58-300 Wałbrzych, Pl. Teatralny 1, tel. 250-12, 250-13. Biuro Obsługi Widzów czynne od 7.30 do 15.30, tel. 250-55; przyjmuje zamówienia na bilety indywidualne i zbiorowe. Kasa teatru czynna od 13.30 do 15.30 (oprócz poniedziałków) oraz na godzinę przed rozpoczęciem spektaklu.

W repertuarze teatru:

R. Lamoureux **Kret**

T. Kempinsky **Solo na dwa głosy**

M. Pawłowa **Idiota i inni**

W przygotowaniu:

L. Fletcher **Bezsenność**

cena zł 50

Mrożek

Kiedy się urodziłem, byłem gotów uznawać i szanować autorytety. Słowo „konformista” nabrało brzydkiego znaczenia. Ale gdyby sprawy tego świata nie toczyły się zwichniętym torem, jak śruba po „falszgwincie”, cóż naturalniejszego i zdrowszego, jak dostosowywać się do rzeczywistości, do jej kształtu, konformować się? Młode zwierzęta doskonale konformują się z prawami gatunków, młody lew chce być taki sam, jak stary lew, ponieważ stary lew wie, co robi, a to, co robi, służy lwom w najbardziej lwi ze wszystkich możliwych sposobów. Młody lew nie szuka swojego własnego wariantu, jak być lwem, ani nie protestuje przeciwko swojej kondycji lwa. Jest lwem spokojnie aż do końca swoich dni, tak samo jak jego ojciec i praojciec, też lew.

Przez pierwsze lata dzieciństwa pozostawałem w tej blogosławionej, zwierzęcej kondycji. W sferze zjawisk fizycznych autorytety mają za sobą natychmiastową gwarancję doświadczenia. „Nie dotykaj ognia, bo się sparzysz” — powiada ojciec. I rzeczywiście, niechbym wtedy spróbował kontestować pakując rękę w ogień. Autorytet mógł być spokojny, że taka kontestacja ukarze sama siebie. Skompromituje się od razu już w samym swoim procesie, bez czekania na historyczne skutki i samoczynnie wzmocni tylko autorytet.

Nic dziwnego, że autorytet tak utrwalony w sferze natury działał jeszcze potem w sferze kultury. Nie przyszło mi do głowy, że Marszałek Piłsudski mógł być inaczej przedstawiony niż tak, jak to robił „*Plomyczek*” (przedwojenne piśmiotwo dla dzieci), że dogmat Niepokalanego Poczęcia nie przedstawia się tak prosto jak w Rycerzu Niepokalanej, że polscy ulani nie są niewyciężeni. Wszystko przyjmowałem za dobrą monetę, wszystko było autorytetem. Nawet kolega z wakacji, który udzielił mi pierwszych informacji na temat życia erotycznego, nieścisłych, jak się później okazało.

Ale rosłem. Jednak sam fakt mojego rozwoju fizycznego nie groziłby autorytetom, gdybym rósł w dorzeczu Amazonki i to nie dzisiejszej już, ale pół wieku temu co najmniej, jako członek małego plemienia zwanego prymitywnym. Tylko w kulturze całkowicie jednorodnej kolektywistycznej i zamkniętej w sobie autorytetom dobrze się powodzi. Ale tam i wtedy, gdzie i kiedy rosłem, rzeczy były już bardziej pomieszane i jednocześnie z moim ciałem rósł zakres

i operatywność mojej wyobraźni, czyli tego wszystkiego, co można sobie pomyśleć. Przede wszystkim powiększyła się ilość znanych mi autorytetów i zaczęło się zdarzać, że jeden mówił nie to samo, co drugi, ale całkiem i wręcz coś przeciwnego.

Młody człowiek za bliski jest jednak dziecku, żeby autorytet przestał być dla niego nieuniknionym i nieprzewycięzionym problemem. Brak autorytetu, który by chciało się uznać, jest okaleczeniem i dopiero później można nauczyć się chodzić bez jednej nogi i jeść lewą ręką. Autorytet jest niezbędny dla zdrowia, bo kogo stać na stworzenie całego świata od początku, tylko własnymi siłami? (A jednak trzeba, tak jak rzeczy stoją). Potrzebujemy kogoś, od kogo moglibyśmy przyjąć pewną ilość podstawowych rozwiązań jako pewniki, po to, żeby się zająć rozwiązaniami dalszymi.

Niestety, spostrzegliśmy, że autorytet nadużył naszego zaufania. Powiada, że wie wszystko, nawet kiedy nic nie wie. Spostrzegliśmy, że nieraz podaje nam rozwiązanie pozorne, albo jawnie głupie. Im bardziej oddalamy się od „nie dotykaj ognia, bo parzy”, im bardziej sprawy stają się spiętrzone, rozłożyste, skomplikowane, tym sprzeczność między ukrytą bezradnością a jawną pewnością siebie autorytetu większa.

Dalej — że (mówię o młodym człowieku) mścić się za zawiedzioną miłość, zaufanie i szacunek. Gwałtownie rzucamy w twarz autorytetowi, który nas zawiódł, nasze oburzenie i pogardę. Wypowiadamy mu kontrakt (nie dotrzymał umowy nie dając nam prawdy, wobec tego my odbieramy mu szacunek), jednocześnie upojeni wolnością świeżo odkrytą. Po raz pierwszy jesteśmy sami, po raz pierwszy „myślimy na własną rękę”. Umyślnie używam tej pociesznej, grafomańskiej formy, ponieważ, rzeczywiście, znów dzieje się coś fałszywego. Nie mogąc jeszcze żyć bez autorytetu rzucamy się w objęcia autorytetu innego, wszystko jedno jakiego, byle takiego, który głosi akurat coś przeciwnego niż autorytet porzucony. Niech ma, niech widzi, jemu na złość. Tyle tylko, że dokonujemy przy tym żalosnej operacji na własnym mózgu. Nie chcemy już się przyznać, że znowu autorytetowi ulegamy (ho-ho, z tym skończone) i udajemy przed sobą, że zdarzył się radosny przypadek: oto, myśląc „na własną rękę”, odkryliśmy idealną zbieżność między owocami naszych własnych myśli a tezami autorytetu numer dwa. To nie on nas wciąż

ga, to my do niego dobrowolnie przystajemy, jak równy z równym. Dorośli i suwerenni. He-he.

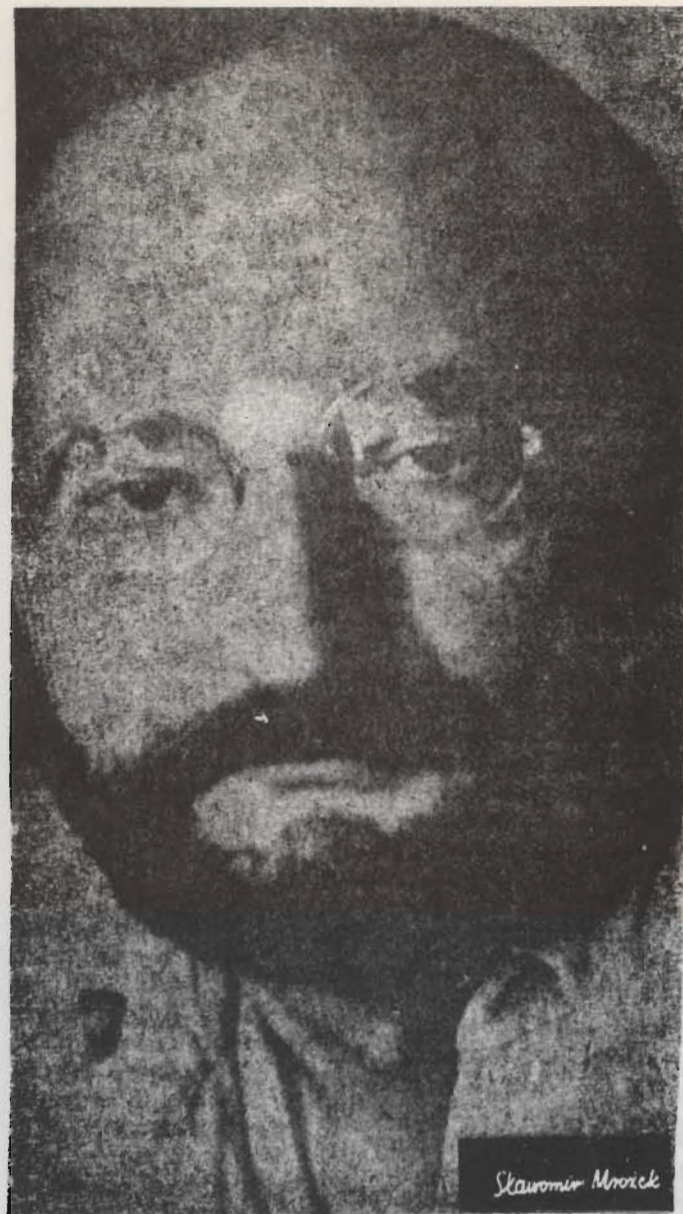
Potem historia powtarza się, ale to, co wynika z powtórki, może być rozmaite. Młody człowiek jest coraz mniej młodym człowiekiem. Nie tyle goni już za prawdą, ile za swoim portretem, który już sobie tymczasem namalował. Jeszcze raz przemalowujemy? Zmęczenie. Przyzwyczajenie. Czasem wstyd, żeby się do tego wszystkiego przyznać. W ogóle życie... Konformizm jest prawem natury, a co to jest rzeczywistość (czyli to, do czego należy się przystosowywać) — co do tego zdania są podzielone, ale nierówno. Większość zdań jest pod tym względem jednolita. Zresztą, mój Boże, taki panuje zamęt ogólny...

Owszem, panuje, i to coraz większy. Wszystko już miesza się ze wszystkim. I w tym zamieszaniu rośnie głód, potrzeba, konieczność autorytetu. Wszystko jedno jakiego, byle jakiś był. Z wdzięczności za to, że jest, nie będziemy mu zaglądać w zęby.

Tu i ówdzie snują się kaleki, które nauczyły się żyć bez tego, co naturalne i potrzebne. Tylko w śmiałych wizjach science-fiction można przypuścić, że wyrośnie z nich nowa rasa, że kalcetwo przerodzi się w nowy, inny rodzaj naturalności i zdrowia.

„Dialog” 1978 nr 1, s. 142.

nie
tylko
o
sobie



Drogi Panie Andrzeju,

ślabym przedmówcą, mówcą i pomówcą. Do roli przewodnika, oprowadzającego publiczność po salach wystawowych, objaśniającego: „Andrzej Mleczko na de...”, „Rola Andrzeja Mleczko w...”, też nie czuję powołania. To, co Pan robi, bardzo mi się podoba, podobnie jak wielkiej liczbie innych ludzi. Tak wielkiej, że istotnie warto by się nad tym zastanowić. Dlaczego aż tak wielkiej, i to ludzi tak rozmaitych? To na pewno coś znaczy, socjologicznie, historycznie, artystycznie. Ale co i jak to znaczy, tym powinni się zająć specjaliści.

Zachwalać Pana już nie trzeba. Zresztą nie wierzę, żeby ludziom można wmówić coś, co im się samo z siebie nie podoba. Można stworzyć modę i pozory. Pan nie potrzebuje ani zachwalania, ani mody. To moda potrzebuje Pana.

Najtrudniej wyjaśnić, dlaczego nam się coś podoba, samo z siebie, szczerze i od razu. (Z tym, co nam się nie podoba, znacznie łatwiej). Może dlatego, że kiedy tak właśnie nam się podoba, to znaczy, że trafione są w nas nie nawyki mody, estetyki i konwensu (który może się nazywać także antykonwensem), ale nasze uczucia. Od naszych uczuć trudniej nam się oddzielić niż od naszych myśli, żeby je analizować. Bardziej jesteśmy naszymi uczuciami niż naszymi myślami. Te ostatnie zbyt często niezbyt są nasze.

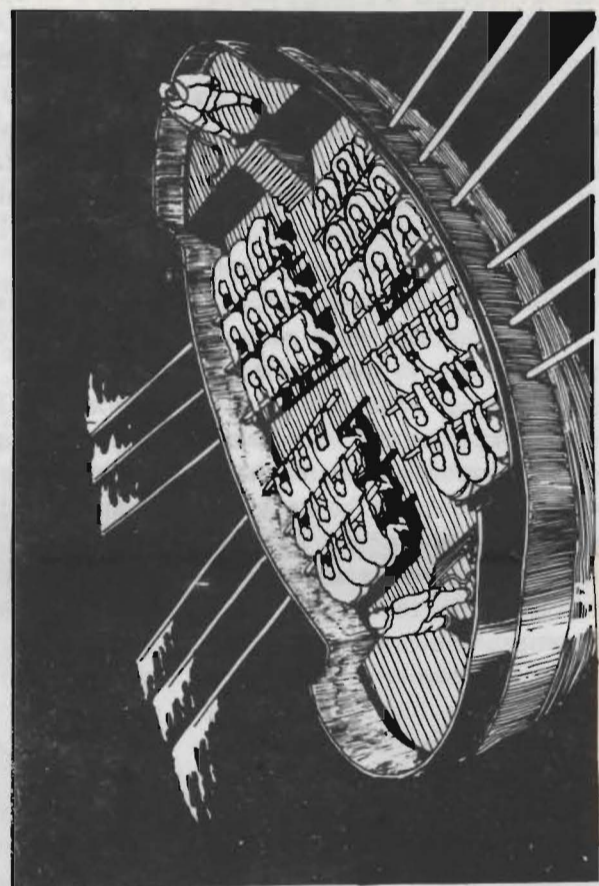
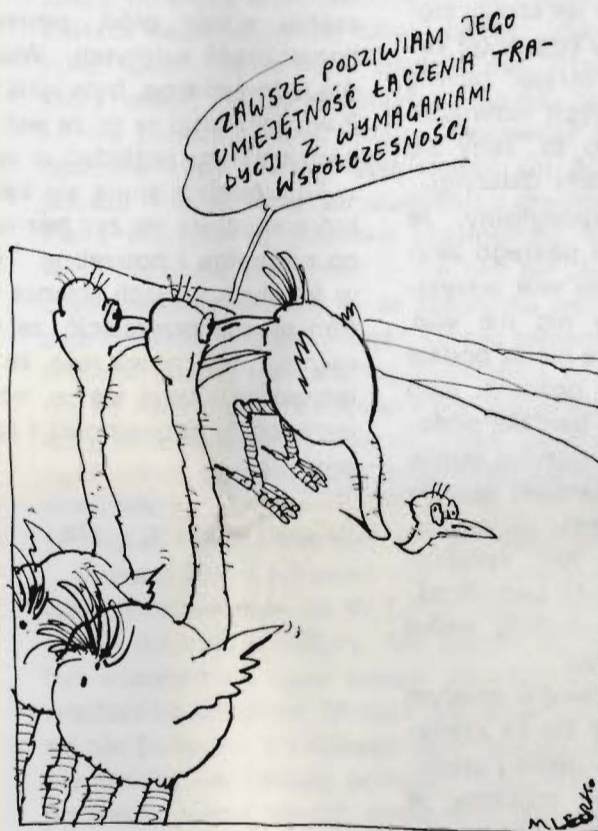
Nie lubię i nie cenię tak zwanego „czarnego humoru”. Jest nudny jak ludzie, którzy uporczywie chcą być dowcipni, albo ci, którzy w kółko powtarzają nieprzyzwoite wyrazy, ponieważ postanowili sobie, że przez wulgarność będą niezależni i zwrócą na siebie uwagę. Nudny jak wszystko, co mechaniczne, wymyślone i umyślone, według recept, namolne i ograniczone. Nudny jak zawodowi surrealiści, zawodowi abstrakcjoniści, zawodowi egzystencjaliści, zawodowi komicy, amanci, katastrofiści, piewcy, postępowcy, reakcjoniści i tylu innych, którzy mozolnie, ale z pretensjami do całego horyzontu, uprawiają swoją działkę. Nie wiem, do jakiej szkoły już Pana zaliczono, ale jeżeli do jakiegokolwiek, to witam Pana jako kolegę w doli, sam już mam niezły składzik przydziałowych mundurków. Obawiam się, że odkomenderowano Pana do „czarnego humoru”. Spora już i zdyscyplinowana grupa maszeruje równo w takt tego nowego (choć już nie najnowszego) bębna.

Humor czarny, zielony czy w kropki, podobnie jak literatura, grafika, teatr, film czy cokolwiek innego w tym rodzaju — nic mnie nie obchodzi. Obchodzi mnie wyłącznie świat i życie, ponieważ ja sam — podobnie jak każdy — jestem światem i życiem, choć od nich mniejszy, i w tym ujęciu, podobnie jak każdy, jestem egoistą. Zaś świat i życie to wszystko, a ponieważ wszystko, to za dużo, i żeby to za dużo jakoś uchwycić, ukierunkować i przystosować do nas, mniejszych od wszystkiego, musimy rysować, pisać, przedstawiać. Używać sposobów. Sposoby same w sobie i same dla siebie nic mnie nie obchodzą.

Nie jest to łatwe, ale z czasem i doświadczeniem można dostrzegać względnie jasno, mając do czynienia z książką, rysunkiem czy jakimkolwiek innym sposobem: Czy to sposób używa człowieka, czy człowiek sposobu? Literatura to pisze człowiekiem, czy człowiek literaturą? Rysunek człowiekiem rysuje, czy człowiek rysunkiem? Tylko tak można się polapać w potworniejącej ilości przedstawień (przedstawieniem w czystym i pierwotnym tego słowa znaczeniu jest każdy artykułowany gest, obraz i słowo mówione czy pisane). Wygrzebać się spod lawiny książek, nie utopić się w powodzi obrazów (wykonanych wprost ręką albo sprzętem fotograficznym, pojedynczych czy zorganizowanych w ruch, przedstawionych na ekranie kina, TV czy na scenie). Oczyścić wokół siebie pole ze ścisku propozycji, dać sobie radę z jarmarkiem umysłowych produktów, z których każdy narzuca się jako „prawdziwy”, a których tak wiele nic nie znaczy poza zręcznym ruchem wyobraźni czy narzędzia przedłużającego rękę.

Kiedy Pan śmiesz, zaskakuje, zamyśla, przestrasza, zagraża — nie mam wrażenia, że czyni Pan to tylko po to, aby się wydać dowcipnym, zaskakującym, groźnym — że chce Pan na mnie i na innych zrobić wrażenie, że Pan takim właśnie jest. Mam natomiast wrażenie, że to życie Pana samego śmiesz, zaskakuje, zamyśla, przestrasza i tak dalej, cokolwiek życie z nami wyprawia. Co więcej, mam wrażenie, że wolałby Pan, żeby Pana nie bolało niż bolało, że wolałby Pan cieszyć się niż płakać, lubić niż nie znosić, ufać niż się bać, szanować niż pogardzać. Nie ma w Panu solidarności, podziemnego kompromisu, zgody (a tym mniej spółki) z męką, strachem, nienawiścią, kłamstwem, upokorzeniem. Dlatego jest Pan z ludźmi, przeciwko nicości. Wbrew temu, co się nam wmawia, temu, co można nieraz sądzić, wbrew temu, co mi się wydaje w częstych chwilach zwątpienia, ludzie nie lubią ani katów, ani zbrodniarzy, ani wariatów, ani samobójców.

Sławomir Mrozek



Rys. A. Mleczko

